

Baśń o Złej Górze

Autor: Bogumił Zając

Niczym najczystszy dźwięk fletu i najśłodszy trel słowika, rozbrzmiewa w mych uszach melodia tej przedziwnej historii. Ale nawet najcudowniejsza opowieść, jeżeli nie płynie dalej do ludzkich serc, obumiera. Dlatego też posłuchajcie i przekażcie ją dalej...

Za wiecznie białymi czapkami szczytów Morskich Gór, kryło się królestwo Pięciu Sosen, którym władał król Bartłomiej. Był on niezbyt wysokim, ale krępy męczyzną, którego blond włosy i krótką brodę, czas naznaczył już siwymi pasemkami. Poddani widzieli w nim władcę surowego, lecz sprawiedliwego. Monarcha rzadko opuszczał królestwo, nie przepadał za podróżami, a i jedynego syna, Karola, starał się trzymać blisko siebie. Książę był chudym piętnastolatkiem, i jak to w tym wieku bywa, ciągnęło go w daleki świat, pragnął przeżywać przygody, o których do tej pory tylko czytał lub słyszał. Niestety, zaledwie dwa razy w ciągu krótkiego jeszcze życia, udało mu się opuścić granice królestwa. Stale jednak szukał sposobności do ekscytujących przeżyć. Dzisiaj ucieknie z lekcji arytmetyki, aby wziąć udział w wyścigu konnym, urządzonym z rówieśnikami. I właśnie tego dnia poznamy owego niesfornego bohatera.

Zajrzyjmy teraz do komnaty, w której to nasz zawadiaka otrzymuje właśnie reprimendę od ojca.

– Ależ tatku! – książę Karol bronił się, chodząc po pomieszczeniu i machając rękami. –

Arytmetyka jest taka nudna. Wszystko poukładane, żadnego przypadku, usnąć można na tych lekcjach. A ja broniłem naszego honoru!...

– Honoru? – przerwał król. – Słabe masz jeszcze pojęcie, co znaczy to słowo. Poza tym, honoru nie broni się, uciekając od obowiązków i bawiąc w najlepsze!

– Ależ... – chłopca na chwilę aż zatkało. – Jaki ten tatko okropnie zasadniczy i bez fantazji – pomyślał. Na głos jednak powiedział:

– Wygrałem turniej konny, dowodząc, że królewski ród wydaje najznakomitszych jeźdźców!

– Nie tędy droga, aby stać się rycerzem. A już na pewno nie królem. Zobaczysz, pewnego dnia, gdy spocznie w królewskiej krypcie, cała odpowiedzialność za królestwo spadnie na twoje barki. Nie wiadomo kiedy to nastąpi, ale.. – tu uniósł w górę prawą rękę, lecz zamiast dłoni ukazał się złoty hak, który natychmiast przyciągnął ciepłe promyki słońca i puścił je po komnacie – musisz być gotowy już teraz. Brawurą i zręcznością nie obronisz zamku i poddanych, nie utrzymasz sojuszy i nie nakarmisz głodnych. Do tego potrzebna jest wiedza i doświadczenie, którym tak chętnie się z tobą dzielę, choć wiem, że nieraz nie słuchasz, gdyż myślami jesteś bardzo daleko.

– Tatku, chcę iść w twoje ślady, cenię cię bardzo, ale zrozum, nie każdy tak jak ty lubi jedynie siedzieć na tronie i nie wyściubia nosa poza to, co znajome. Nie wiesz co to znaczy móc przeżyć jakąś przygodę, dać upust tej energii, która kotłuje się o tu... – uderzył pięścią w chudy tors – i szuka ujęcia. Ty chyba nigdy nie byłeś młody! – zakończył z wyrzutem.

Bartłomiej chwilę tłumiał chichot, jednak widząc minę syna, nie wytrzymał i gromkim ciepłym śmiechem wypełnił komnatę.

– Oj, synku, nie wszystko złoto co się świeci i na odwrót – ponownie załśnił hak, który skierował w stronę syna. – O wielu rzeczach nie wiesz – dokończył, poważniejąc. – A ja poprzysiągłem sobie, że nie dam cię skrzywdzić i wychowam na godnego następcę. – Niestety, nie pozwolę ci odpuścić nauki.

Po czym wyszedł, zanim Karol zdążył wysunąć kolejne argumenty. Książę zadumał się – historia utraconej ręki była dla niego niejasna. Król stracił ją w młodości, ale nigdy dokładnie nie opowiedział w jakich okolicznościach. „Nie wyciągaj po cudze!” – zdarzyło mu się raz odpowiedzieć na jedno z wielu pytań Karola o ten incydent. Niczego więcej się jednak nie dowiedział.

Dni mijały, wpisując się w setki podobnych dni życia w królestwie. Czasy były spokojne, o wojnach już zapomniano, czasami tylko odbył się jakiś turniej. Karol nudził się na lekcjach historii, kaligrafii, geografii i arytmetyki. Ożywał na zajęciach sprawnościowych, do których przykładał się po dwakroć. Ciągłe jednak czuł, że młodość upływa mu na nudnych i żmudnych codziennych obowiązkach, żadnych najmniejszych przygód. Toteż, kiedy nadarzyła się okazja, aby przeżyć coś wspaniałego, nie zastanawiał się ani przez chwilę. A wszystko zaczęło się od pojawienia się w królestwie pewnej osoby...

Rycerz Sławomir przybył z daleka, był królewskim posłańcem i przywiózł zaproszenie na wesele księcia Andrzeja i księżniczki Marty z Królestwa Trzech Koron. Wyprawiono ucztę, aby dobrze ugościć rycerza z sojuszniczego kraju. Po przebrnięciu przez górę znakomitego jadła, Sławomir zaczął opowiadać, co widział po drodze i jakie spotkały go przygody. Karol słuchał jak zahipnotyzowany, usadowił się na tyle blisko, aby nie uronić ani jednego słowa. To było coś! W pewnym momencie posłaniec powiedział:

– Przejeżdżałem również w pobliżu Martwego Boru...

– Przepraszam cię – przerwał mu król – ale pora, by dzieci i młodzież udali się do swoich komnat, bo pora już późna.

Pomimo protestów Karola, został odprowadzony do sypialni. Jednak nie zamierzał rezygnować i gdy tylko sługa oddalił się, czmychnął korytarzem do sąsiadującej z jadalnią sali i podsunął krzesło pod maleńkie okienko, łączące pomieszczenia. Zdażył jeszcze na dalszy ciąg opowieści.

– ... i tam znajduje się ponoć Zła Góra, w grocie której piętrzą się olbrzymie bogactwa – kontynuował Sławomir, będący już nieco pod wpływem wypitego wina i miodu – tak powiadają, ale nie miałem czasu, by się o tym przekonać. Pewnie to tylko legenda, bo, jak dotąd, nikt żadnego złota stamtąd nie przywiózł – zakończył.

Karol nie mógł spać, śniła mu się wyprawa do owej tajemniczej góry i wielkie bogactwo, które przywozi do zamku i każe złożyć u stóp ojca. „Jestem z ciebie dumny! – ze łzami w oczach odpowiada król – „Jestem z ciebie bardzo dumny, synu!”

Niewyspany, ale pełen zapału, udał się na lekcje, wyczekując zajęć z geografii. Poczciwy nauczyciel zdumiał się zainteresowaniem jakie w owym dniu wykazywał królewski syn, tak dotąd oporny i znudzony na wykładach. Chętnie jednak dzielił się wiedzą i nieświadomy niczego, wyjawiał gdzie według legendy znajduje się Martwy Bór.

Teraz księciu pozostało tylko znalezienie towarzyszy i przygotowanie zapasu jadła oraz sakiewki. Nie nastręczyło to żadnych problemów, bowiem przyjaciele ze szlacheckich rodzin chętnie przystali na tę potajemną misję, ekscytując się nie mniej niż sam pomysłodawca.

Po siedmiu dniach, kiedy księżyc pełnią swojego okrągłego lica oświeślał ziemię, w zagajniku spotkało się ośmiu młodzieńców, pełnych zapału i energii, gotowych na wielkie podboje i bogactwa. Przede wszystkim na odskocznię od nudnej prozy życia; z wizją przygody za pan brat ruszyli w wyznaczonym przez Karola kierunku.

Po miesiącu podróży przez nieznane dotąd okolice: zachwycające surowym pięknem Morskie Góry, płaskowyż Artura, lasy Zielonego Królestwa i Krainę Wielkich Jezior, dotarli w końcu do miejsca, które według wskazówek nosiło nazwę Martwego Boru.

– Dlaczego martwy? – zapytał Mirosław, jeden z chłopców.

– Ktoś pewnie miał stracha, żeby zagłębić się w ten las i wymyślił taką nazwę. Jak dla mnie, jest on jak najbardziej żywy – oświadczył Karol. – Jedźmy więc dalej, gdzieś w środku znajduje się Zła Góra, już niedaleko cel naszej wyprawy.

Wtedy stała się rzecz dziwna, kiedy chłopcy ściągnęli wodze, konie zamiast posłusznie ruszyć, stanęły dęba, parskając i próbując zawrócić. Żadną miarą nie mogli ich nakłonić do dalszej jazdy. – Lepiej tam nie idźmy – powiedział wystraszony Mieczysław. – Konie posiadają instynkt, którego my nie mamy, musi się tu czaić coś bardzo złego, jeśli nie słuchają rozkazów. Do tej pory były

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

zawsze potulne.

– Ej, ty! Mazgaju! – posypały się ironiczne komentarze pozostałych. – Uważaj, bo narobisz w portki! Chcesz być rycerzem, czy wolisz zostać mianowany tchórzem?

Mieczysław usilnie starał się odwieść ich od dalszej wędrówki, jednak bez efektu. Chłopcy uwiązali konie nieopodal i pieszo weszli do lasu. Mieczysław tylko przez chwilę się wahał, lepiej było iść w grupie, niż zostać samemu z dala od zamieszkałych terenów.

W miarę jak pokonywali las, powoli zaczęli rozumieć nazwę. Drzewa rosły coraz gęściej, a czepce ich olbrzymich koron zlewały się, tworząc barierę nieprzepuszczającą światła. Pomimo południowej pory, wydawało się więc, że idą nocą. Nagle niewinne rośliny zdawały przeobrażać się w potwory, ich konary w długie kościste ręce ze szponami, pragnące złapać intruzów. Ściółka, zwarta i trzeszcząca pod stopami, była niczym olbrzymi dywan, gotowa, wciągnąć każdego, kto ośmielił się ją deptać. Dziwne było jeszcze coś innego – nie było słychać żadnych dźwięków, tak charakterystycznych dla lasu. Żadnego stukania dzięcioła, trel ptaków, szurania czy innych odgłosów wydawanych przez leśną zwierzynę. Tak jakby nie było tu innego życia, tylko las, który wydawał się zły i groźny.

Chłopcy, każdy z osobna, żalowali, że nie posłuchali Mieczysława, ale żaden by się na głos do tego nie przyznał, toteż brnęli coraz dalej, lecz z każdym krokiem wolniej i ze strachem, gdyż animusz gdzieś uleciał.

W pewnym momencie ściana lasu nagle się skończyła i z ulgą wyszli na otwarty teren. Ich oczom ukazał się przedziwny widok. Na olbrzymiej polanie, w centralnej części, znajdowała się smoliście czarna góra. Nie był to jakiś kolos, może czterdzieści metrów średnicy i sto metrów wysokości, o prawie idealnym stożkowatym kształcie. Obraz byłby zachwycający, gdyby nie uczucie niepokoju i tajemniczej złej aury, która wlewała się w serca na ten widok. W dole góry znajdowała się grota, z której wydobywał się olśniewający blask.

– Złoto! – wykrzyknęli chórem młodzieńcy. Nagle strach uleciał, pędem rzucili się w stronę skarbu.

– Stójcie! To pułapka! – próbował ich powstrzymać Mieczysław. – Nie wchodźcie tam!

Na nic zdały się jego krzyki, chłopcy, wyczerpani podróżą, teraz jakby odżyli, widząc upragniony cel przed sobą.

– Zejdź nam z drogi, tchórze! – odpychali kolegę, kierując się ku wejściu do groty.

Mieczysław w pojedynkę nie miał szans, stanął jednak przed księciem Karolem, rozkładając ręce i zawołał błagalnie:

– Stój, książę! Jeżeli tam wejdiesz, to zginiesz razem z pozostałymi!

Karol, rozgniewany takim przejawem buntu, wyciągnął miecz i krzyknął rozkazująco:

– Precz, niegodziwcze!

Mieczysław, widząc, że nic nie wskóra, ustąpił z drogi. Karol ruszył za pozostałymi, nagle jednak poczuł silny ból z tyłu głowy i ciemność go pochłonęła. Ostatnim wrażeniem jakie odebrał, było uczucie, że leci, a czyjeś ręce podtrzymują go przed upadkiem.

Kiedy się ocknął, ujrzał siedzącego przed sobą Mieczysława, który intensywnie mu się przypatrywał. Obok niego leżała gruba gałąź. W jednej chwili wszystko zrozumiał i gwałtownie się zerwał, lecz musiał na chwilę usiąść, gdyż świat zawirował mu przed oczami.

– Nic ci nie jest! – zawołał Mieczysław. – Już się bałem, że uderzyłem zbyt mocno!

– Ty zdrajco! – książę chwycił za miecz. Wstał powoli i kątem oka dojrzał coś dziwnego. Obrócił głowę i zdumiał się niezmiernie. W miejscu gdzie przed chwilą znajdowało się wejście do groty, nie było teraz żadnej widocznej szczeliny. Karol dopadł do czarnej ściany, szukając palcami najdrobniejszej wyrwy. Ale nic nie wyczuł, tak jakby góra zamykając swój sekret, scaliła się w

jedną masę. A w środku... W środku zostali przecież przyjaciele. Gniew wypełnił jego myśli, odwrócił się i z okrzykiem złości ruszył na jedyne pozostałe kompana.

– Ty!... Ty wiedziałeś! To twoja wina! – wrzeszczał. Zanim Mieczysław zdołał cokolwiek wyjaśnić, Karol oburącz wznosił miecz nad głowę, gotów zadać śmiertelny cios. Kiedy jednak ostrze załśniło w słońcu, pojawił się wielki biały gołąb i usiadł na nim. Wtedy miecz jakby skamieniał, księżę nie mógł poruszyć go ani na jotę.

– Karolu! – odezwał się ludzkim głosem ptak. – Targają tobą silne emocje, to rozumiem. Ale gniew jest złym doradcą, nie pozwól aby zapanował nad tobą. Zastanów się, co chcesz zrobić. Mieczysław to przyjaciel, wysłuchaj go w pierw, zanim osądzisz. Nie pozwól aby... – urwał, gdyż pojawił się drugi gołąb, większy i o lśniaco-czarnym upierzeniu. Uderzając skrzydłami i atakując szponami, przepędził białego.

– Nie słuchaj go – rzekł. – Dokończ co zaczęłeś. Ten kmiotek podniósł na ciebie rękę. Nikt, kto ośmieli się zaatakować księcia, nie może zostać bez kary. A w tym wypadku kara może być tylko jedna. Śmierć! Użyj więc miecza, to twoje prawo – po czym odleciał.

Wtedy Karol poczuł, że odzyskał władzę nad bronią, którą dzierżył cały czas nad głową. Jednak najgorsze emocje opadły. Spojrzał w oczy koledze, widząc w nich strach i pokorę. Na chwilę mocniej zacisnął dłonie na rękojeści, ale po chwili opuścił miecz.

– Mów, co wiesz – rozkazał – a jeśli poczuję, że starasz się mnie oszukać, nie powstrzyma mnie już żaden gadający ptak. Usiadł naprzeciwko i ponaglił Mieczysława ręką. – Zaczynaj od tego, kto mnie tak nienawidzi, że kazał mnie szpiegować i w odpowiedniej chwili zdradziecko zaatakować – potarł bolące miejsce na potylicy. – Kim jest mój wróg?

– To... król Bartłomiej, twój ojciec.

Karol potrzebował dłuższej chwili, zanim ta wiadomość do niego dotarła. Później zasypał Mieczysława lawiną pytań, a ten opowiedział jak pewnego dnia król wezwał go do siebie i powierzył mu poufną misję. „Jeśli pewnego dnia mój syn postanowi wyruszyć w potajemną podróż, a czuję, że niedługo może się to wydarzyć, jedź z nim i strzeż go. Pamiętaj, prawdziwe niebezpieczeństwo dla niego stanowi Martwy Bór, a zwłaszcza znajdująca się w środku niego czarna góra. Nie pozwól mu się do niej zbliżyć, zrób co w twojej mocy, aby nie wszedł do groty. Bo jeśli tam wejdzie, będziesz musiał zrobić dla niego to, co ja kiedyś musiałem zrobić dla swoich przyjaciół. Historia zatacza koło, posłuchaj więc mojej opowieści...”

W tym miejscu własnymi słowami przedstawię wam, co usłyszał Mieczysław od króla.

Dwadzieścia lat temu młody księżę Bartłomiej, niepomny na przestrogi ojca, wyruszył z przyjaciółmi w podróż. Młodzieńcza krew, skora do przygód, awantur i Ignąca do sławy, musiała znaleźć ujście. Po wielodniowej wycieczce dobrnęli do przedziwnego lasu; po pełnej strachu i niepokoju przeprawie, dotarli do centralnego punktu – samotnej czarnej góry. Zaślepieni blaskiem złota chłopcy, prędko znaleźli się w jaskini. Jeden tylko Bartłomiej, jak na swój wiek mądry i nieskory do pochopnych decyzji, zastanowił się, dlaczego złota znajdującego się w grocie, które tak łatwo wynieść, nikt do tej pory stąd nie wywiózł. „Jeśli coś można zdobyć łatwo, ba, nawet zbyt łatwo, pamiętaj synu, albo w rzeczywistości nie jest to wiele warte, albo wprost przeciwnie, trzeba będzie za to zapłacić straszną cenę” – przypomniał sobie słowa ojca. – To pułapka! – krzyknął, ale jego głos został zduszony przez straszny huk. To góra zamknęła podwoje; dwie ściany wejścia do jaskini z wielkim pędem ruszyły ku sobie, by w końcu zespolić się, zamykając śmiałków, bądź głupców, w zależności od punktu widzenia, w swoim wnętrzu. Bartłomiej rzucił się z pięściami, ale skała ani drgnęła, słyszał tylko głucho pokrzykiwania ze środka góry, nie potrafił jednak zrozumieć słów. Nie udało się znaleźć choćby małej szczeliny, w którą mógłby wcisnąć ostrze miecza. Usiadł zrezygnowany, opierając się plecami o zimną czerną granitu. Wtedy pojawił się wielki biały gołąb i przemówił do niego:

– Bartłomieju – miał ciepły, dźwięczny głos – nie dałeś się omamić łatwym bogactwem. Dobre i rozważne serce wygrało z chciwością. Dlatego mogę ci zdradzić sekret. Nawet Zła Góra ma swój

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

słaby punkt. Jeśli dobrze poszukasz, idąc w lewo od tego miejsca, natrafisz na Szczelinę Poświęcenia. Jest słabo widoczna, gdyż niknie w otaczającej czerni, ale wyczujesz ją. Jest na tyle szeroka, że zdołasz wsadzić weń rękę. Na jej końcu znajduje się ścianka. Można ją popchnąć i uruchomić mechanizm, otwierający ponownie wrota. Jednak zadziała on tylko wtedy, gdy zrobi to ręka ludzka. Druga trudność polega na tym, że ścianka musi być stale przyciskana, jeżeli ucisk zelżeje, wrota zamkną się ponownie, a najważniejsze...

Nagle pojawił się czarny gołąb i przepędził poprzedniego.

– Nie słuchaj go – odezwał się – jeśli ich uratujesz, będziesz musiał podzielić się złotem. A tak wystarczy poczekać do zmroku. W środku nie ma dopływu powietrza, najpóźniej do wieczora śmierć otuli ich co do jednego. A rano góra ponownie otworzy wejście do skarbu. Będzie cały twój!

– Chyba nikt nie byłby na tyle głupi, aby dobrowolnie wchodzić do takiej pułapki, wiedząc co go spotka. Krótco bym cieszył się bogactwem.

– W takim razie uciekaj, tchórzu. Biały nie powiedział ci całej prawdy, ta szczelina to kolejna pułapka. Twoich kamratów nic już nie uratuje. Zostaną tutaj na zawsze, góra nie wypuszcza zdobyczy. Nigdy jeszcze nie pozwoliła nikomu stąd odejść. Więc uciekaj, masz szansę być pierwszym – i z głośnym, chrapliwym gruchaniem odleciał.

Bartłomiej był dobrym człowiekiem, ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy zostawić przyjaciół. Nawet gdyby próba, którą zamierzał podjąć miałaby okazać się kolejną pułapką. Wsłuchał się w głos serca i powoli badając skałę, przemieszczał się w lewo. Delikatne dłonie sunęły powoli po gładkiej powierzchni góry, odbierając nieprzyjemne wrażenie zimna i jakby... gniewu. Aura zła przy dotyku była jakby namacalna. Pomimo tego książę ciągle szukał szczeliny, aż w końcu trud okazał się owocny. Dłoń trafiła na pustkę i Bartłomiej pewnie wsunął rękę trafiając po chwili na opór. „Oto Szczelina Poświęcenia – pomyślał – ciekawe dlaczego tak się nazywa?”. Przyłożył otwartą dłoń do tylnej ścianki i nacisnął. Rozległ się huk, jakby uderzenie pioruna, a następnie powolny zgrzyt, towarzyszący rozdzielającej się skale. Jednocześnie ściany szczeliny zaczęły się zacieśniać wokół przedramienia Bartłomieja, tylko część, gdzie trzymał dłoń pozostała bez zmian. „Teraz rozumiem” – pojął zasady mechanizmu w mgnieniu oka, ale nie cofnął ręki.

Ponownie pojawił się czarny gołąb.

– Nie rozumiesz, głupcze?!... – zaskrzeczał. – Stracisz rękę, zostaw ich i ratuj siebie.

Widząc jednak, że Bartłomiej ani myśli zrezygnować, usiadł mu na lewym barku i wysyczał do ucha:

– Góra nigdy nie daje za wygraną. Nawet jeżeli uda ci się ująć cało, spadnie na ciebie klątwa. I kiedyś będziesz miał syna, a on pewnego dnia usłyszy o tej górze albo o Martwym Borze i tego dnia jego los zostanie przypieczętowany. Cokolwiek byś nie zrobił i tak ścieżka jego przeznaczenia doprowadzi go tutaj. A wtedy... wtedy Góra się zemści na tobie. Zabierze ci syna. Strzeż się więc, bo dzień, w którym dowie się o niej, nadejdzie szybciej niż byś się mógł spodziewać. Strzeż się, zuchwały głupcze!... – Po tych słowach opuścił Bartłomieja. Ten zaś krzyczał z bólu gdy skalny korytarzyk miażdżył mu rękę aż do łokcia, nie zwalniał ucisku, dopóki miał nad nią władzę. Kiedy ból stał się nie do zniesienia, stracił przytomność, a gdy ponownie otworzył oczy, ujrzał błękitne niebo nad sobą.

– Bartłomieju! – krzyknął jeden z przyjaciół. – Już po wszystkim, uwolniłeś nas, zostawiliśmy całe złoto i czym prędzej udaliśmy się w drogę powrotną. Jesteśmy już daleko poza granicami Martwego Boru, wracamy do domu... – urwał, dostrzegając w którym miejscu skupił wzrok książę. Powyżej łokcia miał zacisnięty pasek, aby zatamować krwawienie, poniżej zaś zwiisał smętny kikut – jedyna pozostałość prawego przedramienia.

– Musiałem ciąć mieczem – rzekł Kazimierz, pochylając głowę. – Reszta została w skale, zmiażdżona i martwa. To był jedyny sposób, żeby cię wyrwać ze szponów góry.

– Rozumiem – odparł z płaczem Bartłomiej. – Sam bym tak postąpił na twoim miejscu. Dziękuję.

<http://www.cowbajkachpiszczny.pl/>

– To my ci dziękujemy, ty nas uratowałeś, i do końca naszych dni masz w nas najwierniejszych rycerzy, ponieważ łączy nas nie tylko więź poddaństwa, ale po stokroć mocniejsza więź – dozogonna przyjaźń.

– ...I tak wyglądały losy twojego ojca, Karolu. Wymógł on jeszcze na swoich przyjaciółach przyrzeczenie, że nie zdradzą nigdy i nikomu ani słowa na temat góry, lasu i całej historii. Po to, aby nie dotarła ona do twoich uszu, po to, aby cię chronić. Kiedy jednak zjawił się rycerz Sławomir, król wyczuł, że godzina zemsty nadchodzi. Odbił ze mną długą rozmowę, a ja, choć niechętny na tę wyprawę, przyrzekłem, że oddam za ciebie nie tylko rękę, ale i życie, jeśli tego będzie trzeba. Teraz przyszedł czas, aby wypełnić drugą obietnicę daną królowi. Czasu mamy niewiele, a jest tylko jeden sposób, aby uwolnić pozostałych.

Mieczysław wstał i skierował się ku górze. – Gdzieś tutaj musi znajdować się Szczelina Poś... – nie dokończył, gdyż poczuł silne uderzenie w głowę i kotara ciemności spłynęła na niego zniemacka.

– Sam muszę wypić piwo, którego nawarzyłem – rzekł do siebie Karol. – To ja muszę uczynić to, czego niegdyś dokonał mój tato. To moje dziedzictwo.

Odrzucił konar, którym uderzył przyjaciela i podobnie jak przed laty jego ojciec, przylgnął do ściany i rozpoczął poszukiwania ukrytego otworu. Przez głowę przelatywały mu najróżniejsze myśli. Nie mógł uwierzyć, że ten, który nienawidził wycieczek i podróży, słynął ze stateczności i wyważonych decyzji, on też kiedyś był młody i zapalczywy, chętny na przygody i dalekie eskapady. Gdyby nie dzisiejsza historia, nie uwierzyłby w zapewnienia Mieczysława. Teraz jednak wszystko nabrało przerażającego połysku prawdy. Z drobnych elementów ułożyła się całość – niechęć ojca do wypuszczenia syna w świat, tajemnica utraty prawej ręki i natychmiastowe odesłanie go do komnaty, gdy tylko pojawiła się wzmianka o Martwym Borze. A przyświecał temu tylko jeden cel – miłość i troska o syna, o zapewnienie mu bezpieczeństwa. „O jakich głupi byłem – wyrzucał sobie Karol – myślałem, że jestem już mężczyzną, a mój ojciec to stary safandula. Myliłem się wielce, ale teraz pierwszy raz mam szansę pokazać, że nie jestem dzieckiem, niech no tylko znajdę tę szczelinę, nie będę gorszy od niego.”

W końcu odnalazł to czego szukał. Bez zastanowienia zagłębił rękę, ale wtedy pojawił się ponownie biały gołąb.

– Karolu – odezwał się, przysiadając na prawym barku chłopca – jako, że postanowiłeś sam się poświęcić, chociaż mogłeś zostać biernym i poczekać, aż uczyni to Mieczysław, mogę udzielić ci kolejnej rady. To co wielkie, nie zawsze musi być pokonane czymś równie wielkim. Tam, gdzie jest czarne, zawsze znajdzie się i białe. Czasami nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale warto poszukać. Zanim użyjesz Szczeliny Poświęcenia, rozejrzyj się. Ala... – urwał. Świsł przeciął powietrze, gdy wielki czarny gołąb uderzył w białego z impetem. Po krótkiej walce biały musiał się poddać i odlecieć.

– Nie słuchaj go, jeśli poczekasz do jutra, skarb ponownie będzie w zasięgu ręki – zaczął judzić czarny. – Wyślesz kolegę do środka, a ten, zanim wrota się znów zamkną, zdąży ci nieco złota wyrzucić. Wrócisz do domu bogaty i sławny. A ty chcesz zostać jednorękim ciamajdą? Jak twój ojciec?

– Zamilcz!... – wykrzyknął Karol. – Chcę być jak mój ojciec. Jak mój bohater ojciec.

Gołąb, widząc, że niewiele wskóra obraną taktyką, zmienił sposób.

– Dobrze, uratuj ich, uratuj. Ale po co tracić swoją rękę, przecież ten kmiotek po to tu został wysłany, aby tego dokonać – wskazał dziobem leżącego Mieczysława. – Obudź go, niech zrobi to za ciebie.

– Choćbym miał stracić obie ręce, nie stracę szacunku dla siebie. Ani nie stracę przyjaciela – popatrzył na chłopca, którego tak niedawno nazwał zdrajcą i w gniewie mało nie zabił. – To mój najlepszy przyjaciel, ja dopiero muszę zasłużyć na to miano u niego. A ty – strącił gołębia z ramienia – zjeżdżaj, posłańcze góry. Nie zamierzam cię dłużej słuchać.

– Żebyś tego nie żałował – krzyknął gołąb, łopocząc skrzydłami. – Żebyś tego potem nie żałował.

Wzbił się do góry, by po chwili zniknąć z pola widzenia.

Karol, za radą białego gołębia, oddalił się nieco od góry i rozglądał się to tu, to tam, aż w końcu dojrzał w trawie mniejsze i większe skalne odłamki. Łatwo było je wypatrzeć, gdyż, w przeciwieństwie do góry, były białe. Niestety, Karol niezbyt uważał na zajęciach, nie wiedział więc nawet co to za skała. „Co jeszcze chciał mi powiedzieć gołąb – zastanawiał się – ala... Ala, co?”

– Alabaster – usłyszał za plecami – znalazłeś alabaster.

– Przepraszam za uderzenie – zwrócił się do Mieczysława – ale wykorzystałem twój sposób perswazji. Ponownie okazał się skuteczny – wyciągnął rękę – dziękuję za wszystko, przyjacielu, wybac mi moje zachowanie.

Uścisnęli się po męsku, klepiąc po plecach i to wystarczyło, żeby wszystko wyjaśnić i pokazać łączące ich uczucia.

– Ten alabaster to świetny pomysł – z błyskiem w oku Mieczysław podniósł jeden odłamek – pokonamy górę górą.

– Nie rozumiem, ale po twoim głosie sędzę, że masz gotowy plan.

– Jak najbardziej, potrzebujemy tylko mocnego płomienia, wody i jednej ręki.

Mieczysław, z pomocą Karola, zabrał się do realizacji zamysłu, tłumacząc mu naprędce czym jest alabaster. Kiedy już żar ogniska przybrał na sile, chłopcy wrzucili do niego kilka białych skałek, stale podsycając płomienie. Kiedy skała zaczęła zmieniać swój kształt, Mieczysław wyciągał końcem miecza gorące kawałki i studził w wodzie z pobliskiego jeziorka. Następnie oblepiał tak powstałą papką rękę Karola. Książę trzymał ją wyprostowaną z otwartą dłońią. Najpierw utworzyli w ten sposób dolną część wraz z dłońią, następnie to samo zrobili u góry, zanim materiał uległ całkowitemu wyciszeniu. Wtedy Karol uwolnił rękę, złączyli oba odlewy, w środek wetknęli miecz i zalali całą formę.

– Teraz musimy poczekać aż wystygnie. To się nazywa gips – wyjaśnił Mieczysław.

Kiedy cała forma stwardniała, Karol uniosł swój miecz do góry. Na końcu znajdowała się biała ludzka ręka, licząc od łokcia, z wyprostowaną dłońią i rozłączonymi palcami.

– Cudowne – zachwycił się. – Mieczysławie, jeżeli zostanę królem, mianuję cię Nadwornym Alchemikiem.

– Teraz, Karolu, pora działać, do zmięzchu coraz bliżej.

Chłopcy stanęli przed Szczeliną Poświęcenia, książę wyciągnął sztuczną rękę i umieścił ją w otworze, następnie docisnął z całej siły, wspierany przez Mieczysława.

Rozległ się huk i powoli z czarnej skały zaczęła wydobywać się luna od złotego blasku. Otwór robił się coraz szerszy, aż w pewnym momencie ukazała się głowa pierwszego z uwięzionych. Rozległ się kolejny trzask, kiedy alabastrowe ramię poddało się naporowi skały, jednak miecz zakończony dłońią wciąż tkwił i napierał na tylną ściankę. W ten sposób wszyscy wydostali się na zewnątrz góry, a wtedy rozległ się olbrzymi szum i jęk zawodu, a później głuchy basowy pomruk złości. Chłopcy nie tracili czasu na powitania, ruszyli w głąb lasu, aby jak najszybciej wydostać się z przekłętej okolicy i opuścić Martwy Bór.

Dopiero po pewnym czasie zorientowali się, że wśród nich nie ma Karola. Niestety, na powrót było zbyt późno – martwy las ożył, drzewa za nimi zacieśniały się, tworząc wielki czarny mur, podłoże zaczynało falować, a gałęzie kłuć i uderzać. Towarzyszył temu złośliwy szyderczy śmiech, unoszący się gdzieś nad głowami i atakujący uszy groźną kakofonią, zaś serca wypełniając strachem.

Nie było rady, trzeba było uciekać w jedynym możliwym kierunku, z dala od góry. Po wyczerpującej, zdającej się nie mieć końca przeprawie, strudzeni chłopcy, z ulgą opadli na zieloną trawę. Nieopodal pasły się ich konie, byli uratowani. Wszyscy, z wyjątkiem księcia Karola, ich wybawcy.

W posępnych nastrojach powrócili do królestwa, stając pełni wstydu i z uczuciem hańby przed władcą.

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

– Zawiodłem, mój Panie – uklęknął Mieczysław. – Nie ocaliłem twojego syna, ukarż mnie odpowiednio do mojej przewiny.

Bartłomiej najpierw wysłuchał całej opowieści, a potem dopiero rozsądził:

– Nie jesteś niczemu winny, to ja zawiodłem jako ojciec. Opowiecie mi wszystko jeszcze raz dokładnie, ale teraz pora wyruszyć na odsiecz – oznajmił, a następnie wydał kilka krótkich rozkazów i w szybkim tempie zorganizowano zbrojny orszak, który wyruszył w kierunku Złej Góry. Przewodził mu sam król Bartłomiej.

Niestety, kiedy dotarli w okolicę, gdzie winien znajdować się wspomniany las, nie byli w stanie go odnaleźć. Zamiast Martwego Boru, słynnego z mroku, widniał przed nimi zwyczajny zielony bór, pachnący i tętniący leśnym życiem. W końcu, zrezygnowani, zagłębili się w ten las i odnaleźli górę. Nie była ona jednak czarna, ale alabastrowo biała. Posiadała również grotę, ale pustą, bez choćby kawałka złotego kruszcu.

I tylko jeden szczegół wskazywał, że trafili we właściwe miejsce; tkwiący w górze miecz. Król tylko spojrział i od razu rozpoznał bogato zdobioną i wysadzaną rubinami rękojeść. Kiedyś sam wręczył synowi ów miecz. Niestety, żadnego śladu Karola nie odnaleziono. W minorowych nastrojach powrócili do zamku. Królowa wybiegła na powitanie, padli sobie z mężem w ramiona, wspierając i pocieszając nawzajem.

– Bartłomieu! – zawołała w pewnym momencie królowa. – Jeszcze o jednej rzeczy nie wiesz. Parę dni po twoim wyjeździe, do zamku przyleciał wielki biały gołąb. Zupełnie nie bał się ludzi i pomimo prób odganiania go od tronu, nieustępliwie wracał i siadał na oparciu. Tak jakby czekał na ciebie.

Bartłomiej udał się więc do Sali Tronowej, a tam rzeczywiście czekał na niego biały ptak. Na widok króla poderwał się i z gracją usiadł na złotym haku.

Król przypomniał sobie stare dzieje i wtedy zrozumiał, że zapewne nigdy już nie zobaczy syna.

Biały gołąb oznaczał jednak, że to jemu udało się dokonać rzeczy wielkiej; pokonał Górę Zła. Jakże fałszywie zabrzmiałaby ta opowieść, gdyby na tym ją zakończyć, dlatego już spieszę z wyjaśnieniami, co stało się z księciem Karolem. Otóż, kiedy wszyscy chłopcy zebrali się do ucieczki z dala od Złej Góry, Karol również ruszył z nimi. Jednak w pewnym momencie zatrzymał go biały gołąb.

– Poczekaj! – zawołał. – Musisz wiedzieć jeszcze o jednej sprawie. Góra zezłościła się bardzo i nie puści w niepamięć takiej zniewagi. Jeżeli stąd odejdziesz, nie pozwoli ci tu wrócić, jednak klątwa obejmie twoje potomstwo i kiedyś twój syn zostanie zwabiony magią złego czaru.

– Cóż więc mogę uczynić?

– Możesz przerwać przekleństwo raz na zawsze, pokonując Górę Zła. Tylko ktoś, kto przeszedł zwycięsko próbę Szczeliny Poświęcenia uzyskuje taką możliwość.

– A mój ojciec?

– I on także miał, jednak zanim zdołałem mu to wyjawić, nieprzytomnego zabrali przyjaciele.

– Mówże zatem co mam czynić, nie odejdę stąd jeśli chociaż nie spróbuję!

– We wnętrzu góry znajduje się jeszcze jedno specjalne miejsce, Komnata Poświęcenia. Jesteś jedyną osobą, która może do niej dotrzeć.

– Jak się tam dostanę i co mnie czeka później?

– Wejście znajduje się w odległości czterech łokci od szczeliny, w której spoczywa twoja broń.

Wystarczy, że dotkniesz w tym miejscu skały, a zostaniesz wpuszczony do środka. Resztę dowiesz się w komnacie. Ale pamiętaj, ta próba może zakończyć się dla ciebie tragicznie, nawet śmiercią.

– Już zdecydowałem, bez względu na cenę, zamierzam podjąć walkę.

Karol zawrócił, co uciekło uwadze współtowarzyszy i ponownie znalazł się przy gładkiej czarnej ścianie. Trzymając dłoń na skale powoli przesunął się w lewo. W pewnym momencie odczuł mrowienie, a potem wibracje, przystanął więc i obiema dłońmi naparł na górę. Z głuchym

odgłosem lita powierzchnia ustąpiła, odsłaniając wejście do tunelu, wysokości dorosłego mężczyzny. Chłopiec spojrział w ciemną czeluść, starając się dojrzeć co kryje się w głębi, lecz wewnątrz panował mrok i chłód. Popatrzył zatem, być może po raz ostatni, na błękitne niebo, rozpromienione płomieniami ciepłego słońca i przekroczył próg nieznanego. Uszedł zaledwie parę kroków, kiedy wejście zatrzasnęło się z grzmotem. „Nie ma już odwrotu” – pomyślał, prąc naprzód. Korytarz przed nim otwierał się zapraszająco, aby w tym czasie zamykać się za plecami. Tylko niewielka niebieskawa poświata od strony skalnego chodnika, rozcinała mrok, dzięki czemu Karol mógł cokolwiek dojrzeć. W pewnym momencie światło na końcu tunelu rozbłysnęło silniej, a gdy księżę zbliżył się do jego źródła, znalazł się w niewielkiej komnacie. Tunel zamknął się z hukiem i nagle spłynęła nań nieprzyjemna cisza. Dotarł do celu. Na środku pomieszczenia palił się niebieski płomień, który dawał ciepło i wydawał się tchnąć czymś dobrym, pocieszającym. Pod płomieniem znajdował się wielki złoty kamień. Dopiero po chwili Karol zdał sobie sprawę, że nie jest sam w komnacie. Dwa olbrzymie gołębie z delikatnym furkotem skrzydeł pojawiły się po obu stronach płomienia i usiadły na wystających ze skały drążkach.

– Niezmiernie się cieszymy z twojego przybycia, Karolu! – zawołały.
– Już tylko krok dzieli cię od złamania złego czaru – powiedział czarny.
– Ten złoty głaz, który widzisz, jest sercem góry – dodał biały.
– Możesz go ze sobą zabrać, stanowi klucz, otwierający tunel, którym się tu dostałeś – czarny gołąb z powagą wskazał na jaśniejsze miejsce w skale. – Wtedy wydostaniesz się i będziesz mógł odejść bogaty, jednak następnego ranka serce odrośnie.
– Możesz też pozbawić Góry serca raz na zawsze. Jest ona wcieleniem zła, żywą istotą, a jej serce jest zimne i nieczułe jak kamień. Tylko ktoś niebywale odważny i pozbawiony uczucia chciwości, zdoła zniszczyć tak wielki kawał złota. Wystarczy stopić je tym niebieskim płomieniem. Skutki jednak mogą być straszne dla takiego śmiałka.

– Zrobię to – rzekł poważnie Karol. – Cokolwiek się później ze mną stanie, zrobię to zaraz. Powiedźcie mi tylko kim jesteście, chciałbym poznać waszą historię, jeśli nie jest to zbyt śmiała prośba.

Czarny gołąb zerknął na białego i odezwał się pierwszy:

– Nasze imiona dawno już zaginęły w czeluściach czasu i nikt z ludzi już ich nie pamięta. Nie ma to znaczenia. Kiedyś byliśmy ludźmi, jak i ty. Łączyły nas więzi krwi, oto mój rodzony brat. Był on mi najlepszym przyjacielem, a ja mu najwierniejszym druhem. Niestety, zanim na dobre weszliśmy w dorosłe życie, nasz ojciec, szlacheckiego stanu rycerz, zachorował poważnie i umarł. Jednak wcześniej rozdzielił między nas cały swój majątek, a był on niemały.
– Wtedy nasze drogi zaczęły się rozchodzić – wtrącił się biały gołąb. – Sprzedaliśmy zamek i każdy z nas kupił sobie własny. Zarządzaliśmy majątkiem po swojemu...
– Prawda jest taka, że ja zbytńio zawierzyłem w moc złota – na powrót przejął opowieść czarny. – Korzystałem z życia, kupowałem sobie przyjaciół, wabiłem piękne niewiasty i urządzałem wielkie bale. W swej głupocie i naiwności, myślałem, że jestem uwielbiany i posiadam władzę. Niestety, bogactwo przysłoniło mi umysł. Jak bardzo jestem samotny, przekonałem się, kiedy skończyły się pieniądze. Znajomi odsunęli się ode mnie, i nikt już nie liczył się z moim zdaniem. Byłem osobą niemile widzianą, bo nie było korzyści z takiej znajomości. Udałem się wtedy do mojego brata, który nie dość, że nie uronił kropli z dziedzictwa po ojcu, ale i pomnożył, co otrzymał. „Jakże to – myślałem – gdy ja żyję w biedzie, brat mój opływa w dostatki. Zapewne nie zostawi mnie w trudnej sytuacji.”

Brat mój ucieszył się gdy mnie ujrzał, ugościł mnie icense po królewsku. W końcu rozmowa zesłała na temat pieniędzy.

– „A jakże”, powiedziałem – odezwał się znowu biały ptak. – „Nie dam bratu odejść z pustymi rękoma”. Udaliśmy się do skarbca. Już wtedy powinienem zacząć coś podejrzewać. Na widok

złota i kosztowności, oczy mu załśniły, powieki zwęziły, zaczął się pocić i nerwowo dreptać w miejscu. – Tyle mogę ci pożyczyć na nowy początek – rzekłem, wskazując stosik monet.

– „Pożyczyć?!”, zakolała mi w głowie złe licho – czarny gołąb opowiadał, pochylając dziób. – To pieniądze naszego ojca, a ty chcesz mi rzucić jakieś ochłapy, jak jakiemuś żebrakowi, i jeszcze mam ci je oddać? – wrzeszczałem, a mgła złości przyćmiła mój umysł. W gniewie chwyciłem za miecz i pchnąłem w plecy brata, gdy ten schylił się po worek. Zdołał się jeszcze odwrócić i bladymi wargami wyszeptał: – Cóżeś uczynił, bracie? Ale przebaczam ci... I skonał.

– Niech będzie przeklęta ta chwila – zapłakał czarny ptak. – Tym wielce niegodziwym postępkim uwolniłem zło, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Przerażony swoim uczynkiem, uknułem naprędce plan ucieczki. Jako, że byliśmy do siebie podobni, przyodziałem płaszcz brata oraz nałożyłem na palec jego pierścień. Pod osłoną zmroku wyciągnąłem ciało i ułożyłem na wozie, następnie przykryłem złotem i opuściłem zamek. Złodziej woli uciekać pod osłoną ciemności, prawy nie boi się światła dnia. W bramie pokazałem rękę z sygnetem strażnikowi, a spod kaptura, który narzuciłem, mógł zobaczyć jedynie skrawek mojej twarzy. Poganiałem konie, a księżyc, mój sprzymierzeniec, uczynił nocną wędrówkę łatwiejszą. W końcu dotarłem do białej góry, o której wiedziałem, że ma odpowiedniej wielkości grotę. Przeniosłem zawartość wozu i złożyłem w tym bogatym grobowcu ciało brata. „Bratobójca!” – zdawały się mówić ściany. „Łajdak! Niegodziwiec!” – a może to tylko krzyczało moje sumienie. Rankiem obudziłem się w jaskini. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że siedzę w ciemnościach, gdyż nie ma wyjścia. Zostałem tylko ja, mój martwy brat i góra złota. Oszałały ze strachu i bezsilności rozdrapywałem ściany, ale tylko marnowałem powietrze; w końcu dotarło do mnie, że zgotowałem grobowiec nie tylko dla brata, ale i siebie. W ostatnim tchnieniu myśli, poprosiłem o przebaczenie i szansę naprawy wyrządzonego zła.

Nadszedł kolejny dzień – teraz kontynuował biały gołąb. – Słońce oświetliło wnętrze jaskini i gdy otworzyliśmy oczy, okazało się, że przybraliśmy taką postać, pod jaką nas widzisz. Wylecieliśmy na zewnątrz i okazało się, że biała dotąd góra zmieniła się w czarnego, złego potwora. Czuliśmy emanujące z wnętrza i zatruwające okolicę zło; zło, które zrodziło się ze zła. Bratobójstwo z zazdrości nie pozostało bez echa, bo trudno o większą zbrodnię, uwolnione zło wykielkowało w żywą istotę – tak narodziła się Góra Zła. Po pewnym czasie poznaliśmy jej moc – żywiła się ludzkimi emocjami, takimi jak strach, złość, chciwość, czy chęć zemsty. Zapraszała do swojego wnętrza kolejnych naiwnych, a potem zamykała ich, posilając się wszystkimi złymi emocjami, zwłaszcza strachem. Kiedy z braku powietrza umierali, pochłaniała szczątki i ponownie otwierała podwoje, aby zwabić następnych. Dzięki temu jej potęga rosła i rozszerzała się na okolicę. Wszelakie życie uciekło z lasu, pozostał tylko Martwy Bór, na jej usługach.

– Jednak czyste serce mojego brata nie zostało złamane potęgą Góry Zła. Dobro nie dało się stłamsić, i stąd w górze znajdują się dwa miejsca, gdzie złe moce nie mają dostępu.

– Szczelina i Komnata Poświęceń – zawołał Karol.

– Słusznie odgadłeś. Ta mała szczelina to zasługa uczynku mojego brata, który postanowił mi pomóc w biedzie. Nie zamierzał dawać łatwych pieniędzy, tylko pożyczyć, abym nauczył się rozsądnie i oszczędnie dysponować majątkiem. A kiedy przed śmiercią przebaczył mi zbrodnię, nie zostało to zapomniane, i to miejsce – roztoczył wokół głową – to zasługa tego miłosiernego uczynku.

– Ale dlaczego teraz potrafisz tak mądrze i dobrze mówić, a tam, na zewnątrz, jesteś niczym mały diabełek? – zainteresował się Karol.

– Bo tylko tutaj Zła Góra nie ma na mnie wpływu. Brat mi przebaczył, tutaj mogę więc być sobą, kiedy stąd wylatuję, władzę nade mną sprawuje góra, jestem bezwolnym wykonawcą jej myśli, decyduje za mnie.

– Jeśli pokonasz górę, uwolnisz nasze dusze z postaci gołębi. Będziemy mogli odejść w pokoju. Mój brat odpokutował za zbrodnię, a ja mu przebaczyłem, ale dopóki zło, które sprowadził na świat istnieje, jesteśmy uwięzieni.

– W takim razie czuję jeszcze większą odpowiedzialność, spoczywająca na moich barkach –

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

rzekł Karol. – Zrobię co trzeba. A co się ze mną stanie?...

Wtedy gołębie nachyliły się do jego uszu i powiedziały co go czeka.

– Czy gotów jesteś na takie poświęcenie?

– Jestem gotów, nawet jeśli nigdy nie opuszczę tej góry i przyjdzie mi tu umrzeć, pokonam złe moce. Najwyższy czas, przyjaciele.

Po czym Karol chwycił jeden z drążków, przytknął do niebieskiego ognia, a następnie do złotego serca, które natychmiast zajęło się płomieniem. Potężny ryk zatrzęsł górą, lecz młodzieniec nie cofnął ręki. Powoli głaz topił się, a jęki cichły.

– Dziękujemy ci – ptaki równocześnie pochyliły głowy. – W ten sposób uwolnisz świat od zła, a my, uwięzione dusze, będziemy mogli wyruszyć w dalszą wędrówkę. Pamiętaj, jedyną drogą ucieczki jest wąski komin, którym tu wlatywaliśmy; gdy góra obumrze, zostanie zamknięty, musisz więc się spieszyć. Dziękujemy ci, Karolu Wielki.

Po tych słowach kształty gołębi zaczęły się stopniowo rozmywać, aż zniknęły zupełnie.

Karol spojrział w górę. Około trzy metry nad nim jaśniał niewielki kwadrat. Był to wylot komina.

„Jak ja się tam teraz dostanę” – myślał gorączkowo. Ciało od gorąca piekło niemiłosiernie, serce góry jednak skurczyło się do rozmiarów jajka, ciągle płonąc niebieskim ogniem.

Nagle młodzian poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, zrobiło mu się duszno, miał wrażenie jakby chwyciła go jakaś żelazna obręcz, która powoli lecz nieubłaganie zaciska się na jego ciele.

Skóra zaczęła mrowieć, a ręce i nogi skracać. Upuścił pochodnię, jednak resztką złota nie zagasła. Poruszył gwałtownie rękami i oniemiał. To nie były już ręce, tylko skrzydła pokryte białym puchem, który szybko przemienił się w pióra. Machnął kilkakrotnie i wznosił się w górę.

„Jeśli masz w sobie wystarczająco wiele dobra, biała góra nie pozwoli ci umrzeć, stracisz ludzką postać, ale otrzymasz nową, która umożliwi ci ucieczkę” – przypomniał sobie słowa białego gołębia, wypowiedziane w odpowiedzi na jego pytanie: „A co się ze mną stanie?”

A więc zmieniałem się w wielkiego białego ptaka – uśmiechnął się i skierował ku jaśniejącemu niebu, widocznemu na końcu tunelu. Nim jednak zdołał się wydostać, usłyszał krzyk agonii. To dogorywała Zła Góra. Kiedy jęk ucichł, tunel zaczął się zamykać. Karol korzystał najumiejtniej jak potrafił z nowo otrzymanych skrzydeł, ale robiło się coraz ciasniej i pióra szorowały po twardej skale. Jeszcze chwilę, jeszcze moment, jeszcze... I nagle ściany zamknęły się. Ptak ostatnim zrywem wyskoczył z dziury, jednak lewe skrzydło utkwiło w szczelinie. Szarpnął i uwolnił się, lecz stracił część piór. Wycieńczony trudem dzierżenia pochodni blisko silnego ognia i szaleńczą walką z czasem, nie miał już sił, aby z uszkodzonym skrzydłem utrzymać równowagę. Począł spadać w dół, desperacko machając, jednak ziemia zbliżała się coraz bardziej. „Jeszcze chwila i zostanie po mnie tylko plama” – pomyślał, lecz w tym momencie coś śmignęło i poczuł, że ląduje na miękkiej żywej istocie. Piękny, potężny orzeł przyjął go na grzbiet i delikatnie sfrunął na trawę. Karol zsunął się omdlały. Resztką świadomości zobaczył czego dokonał. Dookoła zieleń się trawa, dalej rósł piękny żywo-zielony las, a na środku stała góra, piękna, alabastrowa góra.

Słyszał jak do tej krainy wraca życie: świergot ptaków, szelest mniejszych i tupot większych żyjatek. „Zło odeszło na dobre” – to była jego ostatnia myśl, zanim stracił przytomność.

Gdy się ocknął, znajdował się już w grocie. Leżał na posłaniu z trawy i drobnych gałązek, a dookoła nie było ani śladu złota. Wiele dni upłynęło zanim doszedł do siebie, pielęgnowany przez najróżniejsze zwierzęta. Stopniowo nabierał sił i skrzydło wracało do pełni sprawności. Po miesiącu uznał, że jest już gotów na daleką podróż. Pożegnał wszystkie zwierzątka, dziękując wylewnie gruchającym językiem i uniósł się w górę. Odlatując, zerknął jeszcze z góry. Okolica była cudowna, a w jej centrum lśniła w słońcu biała góra. Taka, jaką była kiedyś, nim zawładnęło nią zło. – Żegnajcie! – pomachał skrzydłem i kierowany ptasim instynktem skierował się w najkrótszą drogę do domu.

Kiedy znalazł się w zamku, udał się do tronu ojca. Próbowano go odgonić, lecz odlatywał tylko na chwilę, po czym wracał. Z rozmów usłyszał, że król wyjechał na poszukiwania syna. „Musielśmy się rozminąć w drodze” – rozumiał Karol. Postanowił poczekać na powrót Bartłomieja. Próbował oczywiście wyjaśnić wszystko matce, ale ani ona, ani nikt inny nie rozumiał języka gołębi. „Mój ojciec na pewno pojmie” – przekonywał sam siebie. W końcu nadszedł ten dzień. Bartłomiej wszedł do Sali Tronowej i Karol usiadł mu na złotym haku.

– To ja, tatku, to ja! – zawołał radośnie, wzruszony – Ja żyję!

– Gru, gru, gru – usłyszał ojciec.

– Tato, to ja, Karol – nie ustawał chłopiec. – Gru, gru, gru!... – dolatywało do uszu króla.

Wtedy chłopiec zrozumiał, że nie jest magiczny, jak tamte gołębie. Zamienił się w zwyczajnego ptaka i nikt się nigdy nie dowie, co się z nim stało. Nie będzie miał szansy powiedzieć ojcu, jak bardzo niesprawiedliwie go oceniał i jak olbrzymią miłość do niego żywi. Już nigdy.

Bartłomiej zaś stwierdził, że jest to gołąb, który przyleciał od Złej Góry. Być może ten sam, którego kiedyś spotkał, choć teraz, gdy czar minął, nie ma już zdolności ludzkiej mowy. I nie opowie co się przydarzyło ukochanemu synowi. Przyleciał tutaj, aby zaświadczyć o bohaterstwie Karola, jako symbol jego zwycięstwa, poświęcenia i zapewne śmierci. Już nie będzie okazji powiedzieć pierworodnemu, jak bardzo go zawiódł, nie potrafił ochronić, nie obdarzył mądrością i nie nauczył jak być prawym. I jak bardzo go miłował.

Tak dwie postaci – dorosły mężczyzna i wielki ptak wtulili się w siebie i jednocześnie zaczęli płakać. Łzy spływały gęsto, łącząc się ze sobą, te drobne krople, będące wyrazem tak wielkich, głębokich uczuć. Spływały na ciało gołębia, spływały również na złoty hak Bartłomieja. A gdy otworzyli oczy, radość wypełniła ich oblicza. Oto już nie człowiek i ptak ściskali się mocno, lecz ojciec i syn. Karol, który zrzucił pióra i stanął na ludzkich nogach, śmiejąc się i płacząc ze szczęścia, oraz Bartłomiej który silnym uściskiem prawej ręki przyciskał syna do siebie. Ostatni kawałek złota odszedł wraz z górą, a za duszami braci odszedł trzeci gołąb. Pozostał tylko król, ze zdrową prawicą i syn w ludzkiej postaci. Czyż nie spełniły się ich marzenia? Czyż nie przeżyli wielkiej przygody? I czy nie zdobyli wielkiego bogactwa lub raczej nie odkryli, że już dawno są w jego posiadaniu?

Tak właśnie wybrzmiały ostatnie takty melodii tej opowieści. Jeśli spodobała się Wam, drodzy czytelnicy, nie zostawcie jej samej, niech płynie dalej ku przestrodze, a może i Wy wrócicie jeszcze kiedyś, aby ponownie odbyć z księciem niezapomnianą podróż?...